

1980 mg. 5. II

D

WYSTAWA POŚMIERTNA
WITOLDA WOJTKIEWICZA

1880. - 1909

[T258 Wwa.]

1909.

26



M. N
11210

Witold Wojtkiewicz.

Umierając nie miał jeszcze Wojtkiewicz trzydziestu lat. Tem również trzeba mierzyć pamięć, jaką w sztuce zostawia, bo ledwie miał czas dojrzeć, a jednak stworzył niejedno, co nie minie i odchodząc zostawił nietylko wielkie obietnice, lecz kilka przynajmniej zwrotek pieśni, jakiej po nim trzeba było oczekiwać. Miał zaś w swej twórczości rysy tak odrębne od wszystkiego co widzieliśmy dokoła, że nie zatra się.

Niewiele znamy dat biograficznych o Wojtkiewicz, niewiele ich było w tem smutnie krótkim życiu. Wiemy, że pochodził z Warszawy, że studyował w szkole rysunkowej pod Gersonem, potem zjawił się w Krakowie, gdzie zbiegały się młode talenty do rosnącej w powagę a jedynej polskiej Akademii Sztuk Pięknych. Było to przed kilku laty. Potem znalazł się w Paryżu, zaczerpnąć tchu i odświeżyć wzrok rozglądnięciem się po najszerszym horyzoncie. Ledwie wrócił — przysła choroba i zgon, którego nic oddalić nie mogło.

Kilka lat wstecz zaczęły pojawiać się na wystawach jego obrazy. Niemal równocześnie dał się poznać jako karykaturzysta. Ulotne kartki jego rysunku krążyły z rąk do rąk przy stole kawiarnianym, który skupiał „najmłodszych”, potem przedostały się do *Liberum veto*, które z krótko żyjącym *Chochotem* dzieliło się karykaturzystami tak niespodziewanej siły jak Sichulski i Pautsch. W litografowanej „Tece

Melpomeny“, do której materiału dostarczył krakowski teatr, został niejeden ślad melancholicznej ironii, z jaką traktował Wojtkiewicz karykaturę.

Od pierwszych obrazów, jakie ukazały się na wystawie w Pałacu sztuki, musiał Wojtkiewicz zwrócić na siebie uwagę. Otwierał się w nich świat nowy, przemawiała dusza nawskroś odrębna od wszystkiego, co jako młoda sztuka wychodziło z Akademii Sztuk Pięknych. Ani pejzaż, ani portret, uprawiane prawie wyłącznie przez młode pokolenie, nie były jego terenem, chociaż czasem ich próbował. Jego teren był zupełnie inny: świat baśni. Wśród liryków wsi polskiej zjawił się nagle poeta-fantasta, zamyślony nie nad pięknem natury, lecz nad życiem ludzkim.

Wobec obrazów Wojtkiewicza powtarzano aż nazbyt często słowo: literatura. Tymczasem jedną z zasadniczych cech jego twórczości jest ta, iż treść literacka jego obrazów rzadko kiedy da ująć się w twardą więź słów. Opisywać je, to mniej więcej to samo, co streszczać Momberta lub *Serres chaudes*. Oto widzimy wycinek areny cyrkowej, wysypanej żółtym piaskiem; w głębi rozpiera się kłown w brnatnym worku — od przodu harcuje ku niemu „głupi August“ na drewnianym koniku; to znów na szklistej posadzce wywijają w tańcu jacyś maleńcy ludzie, a z ogromnych krzeseł przypatrują im się wielkoludy. Na tle liliowym zachodu widzimy małą dziewczynkę, która stoi nad kałużą i topi w niej lalkę. Na stopniach ołtarza zasiadły kobiety w przedziwnie szarmonizowanych szatach, z jakimiś dziwadłami na głowach i patrzą zamyślane przed siebie. Oto przez powietrze leci na kogutach kilku chłopców, którym przygląda się z dołu mała dziewczynka. Do tego wszystkiego tytuł nie mówiący najczęściej nic lub bardzo mało — lecz w wyrazie twarzy, w geście, w ruchu — dziesiątki tajemnic i zagadek.

Z obrazów tych patrzyła dusza poety. Dusza śmiertelnie smutna, przytłoczona zagadką bytu i znużona nią. Człowiek, który bije głową w mur, na którym napisane: po co to wszystko? — musi w końcu dojść albo do łagodnego pesymizmu: „wszystko jedno“, albo utonąć w gorzkim: „wszystko napróżno“. Obrazy Wojtkiewicza mówią o tem

drugiem. powtarzają na wszystkie tony beznadziejną piosnkę o marności życia, które tak nieuczciwie obchodzi się ze wszystkim co wymarzone, idealistów częstuje piołunem a ze snów budzi jak ulicznik jakimś marnym, zabłoconym psikusem. Często napotykaną u Wojtkiewicza postacią jest błazen: śmieszny, smutny, zamyślony i zaniepokojony rzeczywistością. Jeszcze częściej występuje świat dziecinny, niejako transpozycja cierpień życiowych na zmniejszoną skalę ironii „Wobec tajemniczych potęg, które nami rządzą, wszyscy jesteśmy dziećmi — mówią te bolesne elegie. — Żyjemy na świecie jak malcy na podwórku, klecimy sobie zabawki z śmieci i patyków i płaczemy nad straconą iluzją, jak nad połamaną lalką“. Czasem przenosił się w fantastyczne pejzaże, wśród których błądzili dziwnie postrojeni a zbolali ludzie. Są to światy ukrywanych cierpień, tęsknoty i marzenia. Wylewała się w nich gorycz duszy poróżnionej z realnem życiem raz na zawsze. To, co z ludzi widzimy — mówi nam artysta — jest osłoną, która kryje prawdziwego człowieka, a ten prawdziwy jest bolesną karykaturą; naprawdę sobą jest tylko przyroda i dlatego jest ona tak piękna a ludzie tak brzydki i smutnie-śmieszni wśród niej. Kręcą się w kółko po świecie, obnosząc swe maski, które nikogo nie złudzą, o których każdy wie, że kryją twarz pokurczoną goryczą lub gniewem na potęgi, bawiące się człowiekiem z wyrafinowaną złośliwością, jak psotnik chrząszczem. któremu obrywa skrzydła.

W tem wszystkim niema tak zwanej anegdoty. Wojtkiewicz nie malował *fait divers*, nie zadawał się na ogół z ludźmi i ze zdarzeniami określonego środowiska. Obrazom jego można tylko podkładać treść, tak, jak można podłożyć program pod dzieło muzyki „czystej“. Jako „literatura“ są to same niedomówienia, oderwane słowa i anakoluty, które mają raczej budzić pewien nastrój dźwiękiem i grą fantazyj na tle dalekich assocyjacji uczuciowych, niż perorować o czemś konkretnem. Ze względu na psychologię widza, są raczej muzyką, jak poezją. A jednak słowo czy zarzut: „literatura“, padało przed niemi często, łącząc się z obiektywami natury technicznej. Zdawało się czasem, że formuła

o Madonnie malowanej źle i głowie kapusty malowanej dobrze została tak opacznie zrozumiana, iż trudno wielu pojąć, że prócz „świata realnych scen“, wierzb, chmur i kopic siana, może istnieć dla malarza inny, tak samo prawdziwy, chociaż „ze snu sen“, i chociaż widziany przezeń tylko we własnej duszy. Była w tem nietolerancja, sprzeczna nawet z zasadniczym dogmatem teoryj „tylko-malarskich“. z jednostronnem zresztą określeniem, że sztuka nie znaczy: co? - tylko: jak? Zbyt pohopnie mawia się nieraz o artyście: „powinien pisać, nie malować“, zapominając, że sztuki przestały oglądać się nieufnie z osobnych klatek, lecz splatają się rękami jak trzy Gracye — zapominając przedewszystkiem, że kryterjum, czy obraz jest czy nie jest „literaturą“, może znaleźć się tylko w jego malarskiej, nie w literackiej treści. Bo jeśli malarzem jest ten, kto widzi świat jako barwę i linię, to trzeba wysunąć za nawias kwestyę, czy widzi świat „nasz“, czy swój własny, zrodzony w fantazyi, jeśli go po malarsku widzi i przedstawia.

Z tego stanowiska, które jest najściślej „tylko malar skiem“, można ominąć spory graniczne między sztukami, i obejrzeć obraz jako obraz, pozostawiając czułemu słuchaczowi dośpiewanie wszystkiego, co uzna za stosowne, a nawet żartując z jego dośpiewywania, jeśli wola. Wojtkiewicz dał cały szereg dzieł, wytrzymujących tę pracownianą krytykę zwycięsko. Szereg obrazów, w których kompozycja, oryginalność wizyi, muzyka linii i barw składają się często na rzecz niezwykle, odrębnie piękną a zawsze interesującą ze stanowiska „tylko malarstwa“ najściślej obserwacyi. Odnosi się to zarówno do obrazów, jak do rysunków piórkiem, w których jednobarwności zdradzał się wielki talent kolorysty. A że obrazy jego budzą zadumę, że są poematami fantastycznymi, że ludzie i przedmioty otrzymują w nich bez pozy, bez rozmyślności, charakter symbolów, to czy stąd powód do mówienia o „literaturze“? A jednak — trzeba powtórzyć — zarzut ten dotykał nieraz młodego artystę, choć pozory słuszności miał tylko czasami: wtedy, gdy między wyrazem plastycznym wizyi, a nią samą zachodziła dysproporcja i gdy koncepcja poetycka wysuwała się na pierwszy plan, malarskie zaś jej wcielenie wydawało się niezupełnem, nawet

nieudolnym czasami. Mówiąc, że „łamał się z formą“, określamy zbyt realnie ten *status nascendi*; Wojtkiewicz nie ubierał swych wizyj w formę plastyczną *ex post*, one były od pierwszej chwili poczęcia malarskie; czego wszakże tknął się, nabierało dziwnie głębokiej perspektywy, suggestyjonowanej nie przedmiotem samym, lecz ujęciem go po malarsku — kompozycją, linią i barwą — a tylko koncepcja ta nie od razu wychodziła na świat w kształcie pełnym i dojrzałym. Jeżeli mogły istnieć jakie wątpliwości, rozproszyły się po pierwszej pracy, w której opanował się zupełnie; nie zostawił ich, niestety, wiele — umierając nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Punktem zwrotnym — który miał, niestety, pozostać punktem kulminacyjnym tej krótkiej twórczości — stał się cykl kilku obrazów, wystawionych na wiosnę roku 1908 w Pałacu sztuki. Były to, jak wiele poprzednich, sceny dziecięce, przesycone rzewno-ironicznym sentymentem, a jako wyraz malarskich dążeń tak wyższe od wszystkiego, co dawniej tworzył, że nie mogło być najmniejszej wątpliwości, iż indywidualność artysty znalazła drogę wypowiedzenia się bez reszty. Prawie wszystko, co widzieliśmy poprzednio, było w stosunku do tych poematów niedopowiedzianem, jak gdyby próbnym, różnica uderzała na pierwszy rzut oka, talent przemówił całym głosem, jak gdyby dojrzał przez jedną noc. Wspominano wtedy, że to Paryż, gdzie na rok przedtem udał się Wojtkiewicz, wyzwolił w nim ostatecznie siłę twórczą. Być może, iż atmosfera Paryża przyspieszyła rozwój: linia tego rozwoju nie wypaczyła się, bądź co bądź, żadnym gwałtowniejszym wpływem i między pierwszemi próbami, a tym szczytem, związek nigdzie się nie zaciera, talent nie ulegał i nie zmieniał dróg, lecz dojrzewał mocą własnej plenności, z pierwszego załączka. Wyjazd sam był do pewnego stopnia następstwem tego, że obrazy Wojtkiewicza zwróciły uwagę krytyki paryskiej. Andrzej Gide, autor *Prometeusza źle spletanego* i *Króla Kandaulesa*, bawiąc w Berlinie i zaszedłszy na wystawę, którą urządzili wspólnie Gottlieb, Jakimowicz, Wojtkiewicz i Hoffman, wystosował do nieznanego sobie artysty list pełen uznania, zakupił parę dzieł wystawionych i zaproponował urządzenie osobnej wystawy w Paryżu, po-

tem zaś napisał do jej katalogu wstęp pełen zapału. Przedstawiając, w jaki sposób zapoznał się w Berlinie z pracami Wojtkiewicza, mówił o „zadziwiającym akcencie tych kilku płócien”, które „rozświetlały nieco ciemną salę nie przez niedyskretną jaskrawość tonów, gdyż nieznawcy mogły były wydać się szaremi, ale przez ustosunkowanie walorów, przez bolesną fantastykę rysunku, przez wzruszoną i niejako patetyczną interpretację barw”. „Choć tak specjalną, choć tak egzotyczną wydaje się jego sztuka, to jednak jest on pokrewny z naszą młodą szkołą francuską i między Daumierami, Degasami, Toulouse-Lautrecami, Bonnardami — Wojtkiewicz czułby się jak u siebie”.

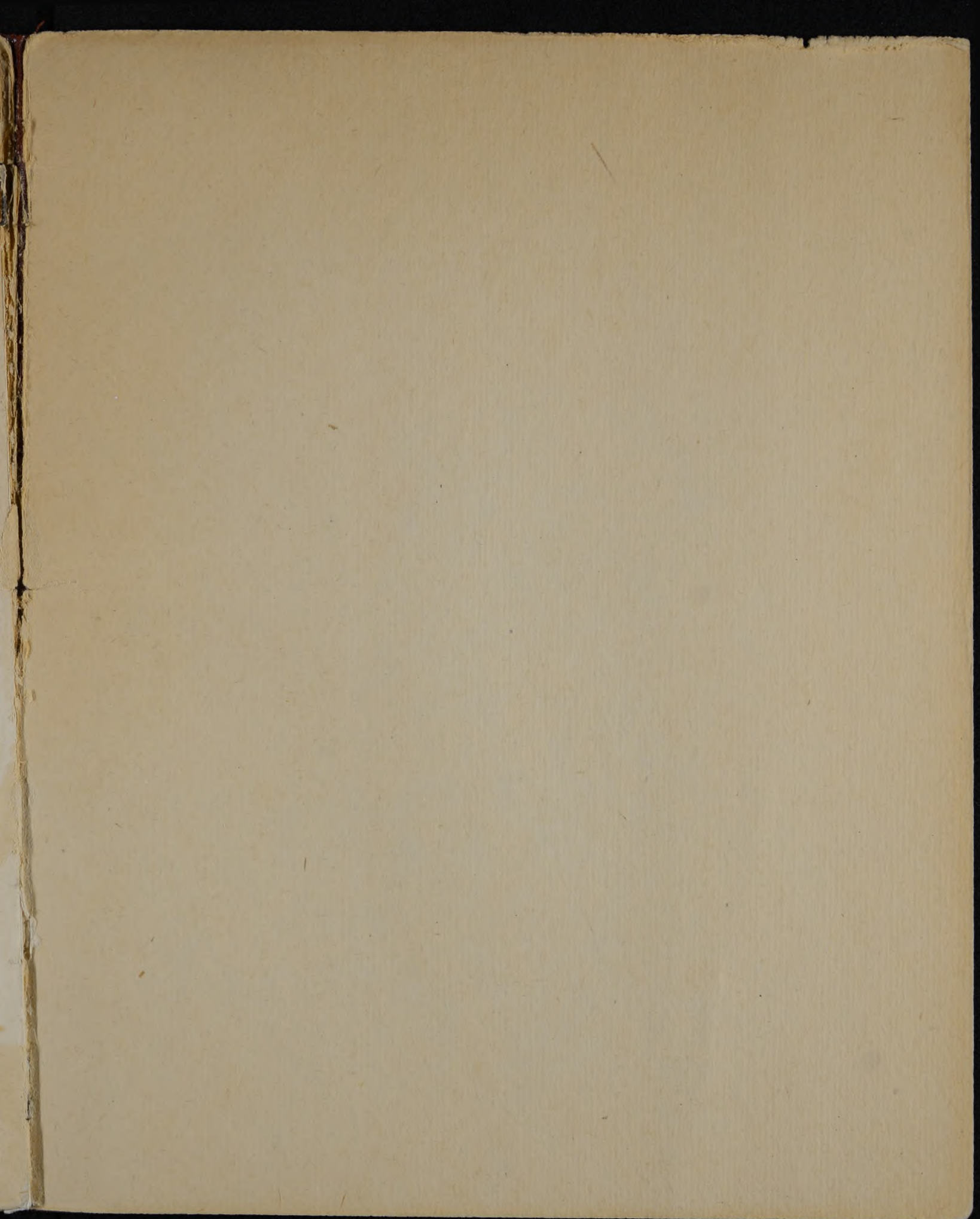
Cykl, wystawiony na wiosnę, o którym mowa, rozchwytno w krótkim czasie. Przyszedł drugi, niemniej interesujący, potem trzeci, potem — konanie. Ostatni rok był już samą niemal agonią, póki przewiezionego do rodzinnej Warszawy nie spotkało wyzwolenie z cierpień, zaostrzonych świadomością stanu i nieustanną gorączką twórczą. Razem z nieszczęśliwym artystą zniknęła nietylko suma inteligencji i kultury, wspartej na szlachetności ducha, lecz świat ekstaz i wzlotów nie mających już doczekać się wcielenia. Trudno było oprzeć się głębokiemu wzruszeniu nad tą stratą dla sztuki polskiej, której ubył poeta, co umierając nie miał jeszcze trzydziestu lat.

(„Czas“),

Witold Noskowski.

1. WIOSENNE PODMUCHY
2. SAMOTNIK
3. PORTRET
4. ROZSTANIE
5. TURNIEJ
6. PORYW WIOSENNY
7. KRUCJATA DZIECIĘCA
8. MELODRAMAT
9. KOMEDJANCI
10. PORTRET
11. WIOSNA
12. BAJKA O RYCERZU
13. BAJKA O RYCERZU
14. GARDENPARTY
15. Z CYKLU „OBŁĘD”
16. Z CYKLU „OBŁĘD”
17. DZIECI
18. OKRUCIEŃSTWO
19. DYSONANS
20. LALKI
21. SAMOBÓJCA
22. WIECZÓR
23. CZARY
24. ŚMIERĆ DZIEWCZYNY
25. IDYLLA
26. WEGETACJA
27. PORTRET PANI R
28. Z CYKLU „BAJKI”
29. MARJONETKI

- 30. TŁUM
- 31. DZWONY
- 31-41 RYSUNKI PIÓRKIEM
- 42-50 RYSUNKI
- 50-55 SZKICE KOMPOZYCYJNE.
- 56 KIERMASZ
- 57 BEZMYŚLNOŚĆ



BIBLIOTEKA
MUZEUM NARODOWEGO
W WARSZAWIE

1980